

Respondent: Mężczyzna ur. w roku 1940, Dębska Kuźnia

(...)

Badacz [B]: To proszę mi opowiedzieć, jak wyglądała sytuacja ludności niemieckiej tutaj w 1945 roku.

Respondent [R]: Chodziłem do niemieckiego kindergarten jeszcze, to pamiętam pierwszy dzień, jak mnie matka tam zawiozła. To tyle pamiętam. W tym kindergarten, być może, że to było wiosną, bo na pewno mnie wtedy zawiozła do tego kindergarten i bardzo często były naloty. Amerykanie robili naloty. To ta Frau Inga, bo tak się nazywała, nas wyprowadzała. Jak była pogoda, to nad rzeka. Ponieważ to przedszkole znajduje się nad rzeką, i tam są drzewa. I dlatego wyprowadzała nas nad tą rzekę pod drzewa. Jak była niepogoda, tośmy schowali się w piwnicy w tym przedszkolu była piwnica i tam żeśmy się chowali jak były naloty.

B: To przedszkole było tu w Dębskiej Kuźni?

R: W Dębskiej Kuźni. Obecnie też jest tam przedszkole. W 1947 roku poszedłem do pierwszej klasy. Ponieważ ta szkoła była wypalona. Kto ją spalił, trudno powiedzieć. Przypuszczają, że Rosjanie, ale różnie to bywa. I po raz pierwszy została odbudowana i po raz pierwszy mój rocznik zaczął chodzić do tej szkoły. Ta szkoła miała tylko dwie klasy lekcyjne. Na dole i na piętrze. Tak, że I i II klasa mieściła się do góry, a VI i VII na dole. III, IV i V w prywatnej karczmie były lekcje. I poprzednio, dopóki ta szkoła nie była uruchomiona, również wszystkie zajęcia odbywały się w tej karczmie. Tam były dwie sale takie lekcyjne i to się tam odbywało. Skąd byli nauczyciele? Może zacznę, bo jeszcze chodziłem do polskiego przedszkola. W 1946 było uruchomione przedszkole, ale nie w tym, gdzie było niemieckie, ale w prywatnym baraku. To było takie trzy pomieszczenia w tym baraku, fajnie tam było urządzone. I była ubikacja. Bo to był kiedyś taki z firmy budowlanej i tam miał biuro, tam miał szatnię i tam było to przedszkole. Była nauczycielka spod Krakowa. Bardzo przyjazna dla nas. Bo wszystkie dzieci, które tam chodziły do tego przedszkola... I z nami się porozumiewała, choć nie wszyscy rozumieli język polski. I taki szczegół pamiętam, co przed Wielkanocą, co opowiadała zwyczajnie jakie u nich tam panują pod Krakowem. A potem powiedziała, czy zgadniemy melodię jaką nuci. To do dziś pamiętam. Ponieważ nie było kościoła w Dębskiej Kuźni, należeliśmy do Dębia, sąsiedniej wsi, oddalonej 3–4 km, więc nie wszystkie dzieci chodziły co tydzień do kościoła. Więc długo, długo, nuciła, a potem „Wisi na krzyżu” to była. I co w kościele to śpiewamy, to mi się przypomniał, jak ona to nuciła. Wracając do szkoły, to pierwsza nauczycielka, która tu uczyła, prawdopodobnie pochodziła z Zawiercia. Dokładnie nie mogę powiedzieć, ale z tego okręgu pochodziła. Była to panna i nie wiem, ponieważ fryzurę taką specjalną miała, wszyscy mówili na nią Lola. Więc ona uczyła nas w III i IV klasie. Natomiast do tej nowo odbudowanej szkoły przyjechało małżeństwo z Zamościa, miało już taką starszą córkę. Miała więcej niż 18 lat. I on został kierownikiem szkoły, a ona uczyła I i II klasę, a kierownik VI i VII. Z kolei ta pani Jesionka, co pierwsza przyszła. W V klasie uczyła pani Wierkijowska. Była to bardzo, dobra nauczycielka. Szczególnie dla nas, dzieci śląskie mam na myśli. Bo dzieci polskie w ogóle tu nie chodziły z nami. Była ta szkoła, te klasy w tej karczmie prywatnej. Więc tu za drzwiami była kuchnia od właścicieli tej karczmy. Ponieważ ja jestem wysoki, zawsze mnie sadzano w ostatniej ławce. I tu siedziałem i prawie wszystko słyszałem co w tej kuchni jest. Bo tu były drzwi. Identycznie tak były dwa rzędy. Z tym, że bardzo się przyjaźniła z właścicielką tej karczmy. Jak była przerwa, to ona tam poszła. I to była bardzo dobra nauczycielka. Jak skończyłem V klasę, to miałem u niej najlepsze świadectwo. Poszedłem do VI klasy. Pan kierownik do wszystkich miał obiekcje, m.in. do mnie też. Że tak mnie chwaliła, pani Wierkijowska, a ja wcale nie jestem taki dobry itd. No różnie bywało. Muszę powiedzieć, że moje świadectwo ze VI, a szczególnie ze VII klasy nie było najlepsze. Choć nigdy nie miałem kłopotów z matematyką, z fizyką, to się okazało, że kończąc szkołę miałem z matematyki dostateczny, a w technikum miałem dobry, na studiach też miałem dobry. A u niego to zawsze... A z jakiego powodu? Ponieważ nasza sąsiadka prowadziła sklep. Namówiła mamę, żeby była w komitecie sklepowym. (...) moja żona była ekspedientką przez całe życie w PSS-sie i ona

też miała komitet, który ich nadzorował. Taki społeczny komitet. To każdy sklep musiał mieć 3 albo 4 osoby. No wiadomo, że towar, jeszcze wtedy kartek nie było, ale był reglamentowany. I ten komitet miał np. za zadanie, jeżeli była mąka, dla każdej rodziny po kilogramie mąki. On miał do mnie pretensje, że moja mama też mu kilogram przydzieliła, a oni oboje pracują. Należy się dwa kilogramy. No i to tak m.in.

B: Pana rówieśnicy mówili swobodnie po polsku czy woleli mówić po śląsku albo niemiecku?

R: Myśmy wszyscy po śląsku goźdzali. Po polsku do dziś nie umiemy.

B: Jak reagowali nauczyciele, na to, że wy mówicie po śląsku?

R: Właśnie ten kierownik. Chłopakowi, któremu ojciec zginął na wojnie. Matka prowadziła wielkie gospodarstwo, to gospodarstwo uderzył piorun. Spaliła się stodoła. Odbudowali. Za trzy lata przyszedł wir, zmiotł tę stodołę. Miała ciężkie życie. [kierownik pyta] tego syna „Dlaczego matka nie była na wywiadówce?”. „Bo musiała jechać furt”. „Ona na furtce jeździła, na furtce jeździła, a na wywiadówkę nie przyszła” i tak całą lekcję. Nie tolerował. Wtedy poskarżyłem się matce, to co powiedziałem. Więc matka pojechała. Jego nie zastała, tylko jego żonie powiedziała, że co to, że ona pracuje społecznie, a że jest taki wymóg. „No ja zawsze mówiłam do męża, żeby wszystkich jednakowo traktował”. Ona była niby trochę lepsza, a on taki. Ja do dziś mogę pokazać świadectwo. Bo mam wszystkie świadectwa. Mnie to osobiście bolało, bo kończąc szkołę. Na marginesie, to poszedłem do technikum mechaniczno-elektrycznego w Opolu. Wtedy nazywała się ta ulica Goślawicka 22, potem zmienili nazwę na ulicę Mondrzyka, a dziś jest Osmańczyka.

B: Jak Pan wspomina tę szkołę i stosunek nauczycieli do uczniów śląskich?

R: Nie mieliśmy żadnych zastrzeżeń. Był taki dyrektor Maczyński, z ramienia partii. On miał taki przedmiot, który się nazywał WOS. Nic innego nie uczył, ale był bardzo dobrym dyrektorem. Było nas w klasie jak zaczynaliśmy w 1954 r. 40 albo 41. Klasa była przepelniona. Maturę żeśmy zdawali w 1958 r. po czterech latach, ponieważ myśmy w soboty chodzili. Maturę zdało 17 nas, z tych 40. Z tego 10 Ślązaków. I jeżeli ktoś mi powie, że Ślązak jest nieuk, to się z tym nigdy nie zgodzę. Tylko są źle traktowani, zarówno przez Polaków jak i przez Niemców. A mam osobiste doświadczenie, jak to wszystko w ciągu mojego życia przebiegało.

B: Pamięta Pan, jak się potoczyły losy, tych osób, które komisja weryfikacyjna uznała za Niemców? Pamięta Pan wysiedlenia Niemców stąd?

R: Nie za bardzo. Pamiętam jak krótko przed frontem. Ten obraz mam cały czas. Ludzie byli zdenerwowani, nie wiedzieli co robić. Moje sąsiadki z każdej strony były pannami jeszcze, ale w wieku dorosłym. Podjechał samochód, musiało to być umówione. Wsiadły do tego samochodu i pojechały. To było parę dni przed nadejściem frontu. Ponieważ tu są tory kolejowe [pokazuje za okno], tu była bocznica. Za czasów polskich została zlikwidowana. Tu stał pociąg towarowy. Do tego pociągu część ludzi poszła. Czy dojechali, czy nie, tego nie wiem.

B: A pana rodzina została?

R: Mój ojciec był na wojnie. Była moja ołma, ołpa, który był bardzo schorowany w tym wieku, bo zmarł 30 kwietnia 1945 r. Ołma, matka, ja i siostra 14 miesięczna. I też, gdzie się mieliśmy podziąć? Ponieważ nie w tym budynku [obecnym], ale budynku, który miał wtedy gipsdeki. Więc obawiano się, że jak coś się stanie, to to wszystko spadnie. Poszliśmy do rodziny, od [naszego] domu jakieś 300 metrów, co mieli sklepienie patentowe. Tam też już była jedna rodzina. I tą noc, jako prawie pięcioletni, pamiętam ze szczegółami. Ponieważ w tamtej rodzinie było bardzo dużo dzieci. Może pięć. Ja byłem szósty i moja siostra w tym wózku. Na tym gospodarstwie była jedna dorosła córka. I tam byli tzw. – myśmy na nich mówili – Weisruse. Ja do dziś nie wiem, czy to byli Białorusini, czy to byli Ukraińcy. Oni chodzili w białych mundurach. Bo trzy dni przed frontem przed każdym domem stała grupka ludzi i rozmawiali co robić. Oni nagle wyszli z małej uliczki, jak ta nasza. Trzech ich było. Mówili po niemiecku dobrze, ale z takim akcentem ruskim. Matka się ich pytała „Zastanawiamy się co robić czy uciekać, czy iść do lasu?” „Tylko nie do lasu. Bo Rosjanie wszystkich w lesie uznają za partyzantów i zgniecie”. A tam, w tym gospodarstwie gdzieś poszli,

dzień przed tym jak ci Rosjanie wchodzili, było 6 albo 7 tych Weirusów. Mieli konie, ponieważ to było gospodarstwo i pod szopą te konie stały. I oni przychodzili na zewnątrz, wchodzili, wychodzili. I krótko przed północą, przyszedł. Miał taką torbę skózaną. I wysypał kaniszucker. Cukier kandyzowany. I powiedział, te słowa pamiętam jak dziś. „Hitlervpfliguns”. Wysypał to na stół i dzieci wszystkie się rzuciły. Ja m.in. też, a ponieważ kieszeni nie miałem, to do rękawiczek napchałem ten kaniszucker. I to wysypał. Poszli. Matka, ponieważ ołpa ten niedołączny został sam w domu. Jak ci Rusy jechali, to te okna były na ulicę. I to wszystko jechało, jechało. [matka] poleciała do domu, bo widziała, że część się już pali. Czy nasz dom stoi? Przyszła z powrotem „My musimy iść do domu. Bo tam są jacyś ludzie, zrobili ogień, tam jest wszystko zadymione, ołpa się tam uduś”. Pamiętam jak te samochody jechały, te czołgi jechały. Poszliśmy te 300 metrów do domu. To mam cały czas przed oczyma. A jeżeli chodzi o ludzi, którzy stąd uciekli, to nie wiem. Wiem tylko tyle, jak Ruscy zabierali tych mężczyzn co zostali. Też dziwnie, bo nie wszystkich. Znam takich, co nie byli na wojnie ani ich Hitler do wojny nie brał, ani ich się Ruscy nie czepili. Tego też nie wiem. Na tym samochodzie. On się koło nas zatrzymał. Dwóch takich, co ich matka знаła, wołali „Daj nam coś chleba, bo nas z drogi zebrali. Bez uprzedzenia, złapali i wieźli do Rosji.

B: Ile osób z Dębskiej Kuźni wywieźli wtedy do Rosji?

R: Nie wiem.

B: A potrafi pan wymienić kogoś z nich?

R: Nie, nie potrafię (...) [przynosi opracowanie Georg Stasch, *Dębska Kuźnia. Wspomnienia z górnośląskiej wsi*, Dębska Kuźnia 2019] to jest książka napisana przez 11 lata starszego ode mnie pana. To jest jego zdjęcie. On już nie żyje. Napisał to po niemiecku. Teraz zostało to przetłumaczone i tu jest bardzo dużo. (...) I on, po prostu starszy, bo on miał 14–15 lat, a ja miałem 5 [wtedy] i tu są nazwiska. Ja owszem mam pewne obiekcje. On pisze, że jego żona szła z matką i oni tych Weirusów, co ten Hitlervpfliguns, że jego matka powiedziała, że oni daleko nie uciekli, bo oni tu leżą. Ci byli zabici, jak ona leciała do domu. Ona twierdzi, że widziała, jak te czołgi po nich jechały. Co jest niemożliwością, bo..., ale już nie mam możliwości skonfrontowania się. (...)

B: Pamięta Pan polonizację?

R: Mnie nie dotknęła ani z rodziny nikogo. Ponieważ moja ołma gołdała po śląsku. Więc joł umiał obydwie śprachy. Moja matka mnie ucyła alfabetu niemieckiego. I joł umia alfabet niemiecki i go wyrecytują a, b, c, d, e, f, g, h, j. tak, że polskiego bym tak nie powiedział. Ten nasz pan kierownik, on się nazywał Świstacki, bardzo gnębił te roczniki starsze. Co einz mal einz nauczyli się po niemiecku. On przyszedł do tablicy i on w myślach liczył po niemiecku, a potyn staroł się to powiedzieć, a to jeszcze na odwrót. A on im to wszystko zarzucał zawsze. Ale ja im się wcale nie dziwuję, bo to jest zakodowane, ta tabliczka mnożenia. Joł umia, ale się nauczyłem potem odwrotnie. Co do tej repolonizacji. Miałem takich, to byli brat i siostra, oni byli starsi o 6 lat, sąsiedzi. Ponieważ oni też niby zaszli do tej polskiej szkoły. Ale co ich uczyć, jak oni skończyli 6 klas niemieckiego? Z nimi były problemy niesamowite. I oni mi potem opowiadali, gdzieś na jakiś kurs chodzili do Chrzastowic jeszcze. To tyle co ja miała styczności. A resztę moi sąsiedzi byli młodszy. Mam z kolei kolegę (...) rocznik 1933 i jego brat był 1931, chodzili do gimnazjum niemieckiego i właśnie obydwaj poszli, bo tam na goślawickiej było gimnazjum. I ojciec tam ich zaprowadził, już nie szli do żadnej polskiej szkoły. Powiedział „Oni nic nie rozumieli po polsku”. A ich tam zaprowadził. I poradzili sobie. On też skończył studia. Obaj my technikum skończyli. Bo z tego gimnazjum potem zrobili technikum chemiczne i elektryczne. No a drugi poszedł do budowlanki i skończyli, tak że poradzili sobie, choć nic nie umieli. Musieli się tego polskiego nauczyć. Tak samo jak nasi, którzy pojechali do Niemiec a nie umieli, i też się nauczyli.

B: Pana mama jak mówiła z wami wtedy?

R: Mama mówiła ze mną po niemiecku, ołma po śląsku. Więc joł umiał obie te śprachy. W międzyczasie rodzina z Kolonii Goślawickiej, to takie pokrewieństwo bardzo dalekie. Była dziewczyna, która była rok starsza. Ta nie umiała nic. Jak Ruscy przyszli, to ona tylko po niemiecku. Więc ją stale zamykali, żeby przed tymi Ruskimi nie mówiła. Ja z kolei żyłem z Rusami bardzo

dobrze. Jak zech z nimi rozmawiał tego nie wia. U nołs mieszkoł w domu, choć było bardzo mało miejsca. Ołma i mama z nami musiała się tam w kuchni ścisnąć, a w pokoju mieszkoł oficer z tzw. adiutantem. Ten adiutant mioł ponoć takiego syna w moim wieku. I myśmy się razem bawili, myśmy się śniegiem rzucali. Myśmy byli najlepsi koledzy. Skądś skombinowali organki, miał i oficer, i adiutant. Oficer mi je podarował. A on powiedział, on to musi mieć dla swojego syna. I jak dziś pamiętam. Była narada tych oficerów, bo mieszkał sam tam, przyszło ich więcej. Ja między nimi chodziłem. Na stole stała złota zapalniczka, tzn. czy ona była ze złota tego nie wiem, ale świeciła się. Więc ja [pokazuje gestem, że ją zabrał]. Jak byłem koło drzwi, oddałem i na tym się skończyło. Żadnych sankcji, nic. Następną sprawą. Ponieważ wszyscy się Ruskich bali. Pomiędzy Chrzęstowicami a Dębem są łąki. A mamy tam pole w tym kierunku, więc zajechaliśmy na pole. No, ale tą krowę trzeba tam zagnać na te łąki, gdzie Ruscy paśli konie. I mie tam posłali. Ta krowa sama tam zaszła. Joł przy tej krowie tyn pięcioletni. Ruscy przyjechali, oni się ze mną bawili. Na koniach ja z nimi jeździłem. I jedno to, co pamiętam, to do dziś. Jak to było to, to dziwi, nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Że „Też chcę mieć prywatnie konia”. „Jak im przyniosę wódkę, to dostanę konia”. Ale ja tłumaczyłam, że ja nie wiem co to jest wódka. Zresztą wtedy w ogóle nie wiedziałem. To być może 100% nie wiedziałam. I mi pokazuje, że się to pije i głupi. Takie miałem doświadczenie z Rosjanami.

(...)

B: (...) W jaki sposób posługiwali tutaj księża? Można było się np. wypowiadać po niemiecku? Ksiądz znał język niemiecki?

R: Tak, znał język niemiecki i głównie go używał, ale również prowadził. Była jedna msza po niemiecku, druga po polsku. Przed wojną. Po, prowadził tylko po polsku. Został ten sam proboszcz. Bo to było w Dębiu.

B: Pan się u niego przygotowywał do Komunii?

R: Do komunii.

B: Ale to już było wszystko po polsku?

R: Po polsku.

B: Ale pana mama jak chodziła do spowiedzi...

R: To po niemiecku. On ją wypowiadał. Wiem, że co mi starsi opowiadali. Że byli tacy dwóch, trzech z poszczególnych miejscowości, bo do tych parafii Dębie należeli 4 wioski. Co chodzili na polski katejmus. Przed wojną. To po dwóch, trzech.

B: A jak ksiądz przychodził po kolędzie, to po jakiemu z wami rozmawiał?

R: Nasz ksiądz, który z Dębia był, to on był do 1956 roku, w ogóle po kolędzie nie chodził. Powiedział, że zna na tyle parafian, że nie musi chodzić po kolędzie.

B: Wyjechał po 1956 roku?

R: Nie, on zmarł.

B: Pamięta Pan zmasowane wyjazdy z lat pięćdziesiątych? Rozpoczęła się wtedy akcja łączenia rodzin.

R: Pamiętam kolega, który ze mną chodził z Chrzęstowic do technikum. Nazywał się [Reinhard] B.. Jego ojciec był czysty Niemiec. On się ożenił w Chrzęstowicach. I on w ogóle nie przyjął obywatelstwa polskiego ten jego ojciec. On na temat ojca specjalnie dużo się nie wypowiadał. Ani ja go nigdy specjalnie nie pytałem. Ponieważ jego ojca bardzo dobrze znałem. On pracował na czarno w młynie. Szedł rano wcześniej, wieczorem wyszedł i tam pracował, specjalnie do nikogo się nie odzywał. W 1958 roku, krótko przed maturą, to był jedyn z najlepszych uczniów. Matury nie mógł zdać, bo w marcu pojechał. Myśmy maturę zdawali w kwietniu. W kwietniu zdawaliśmy z języka polskiego i z matematyki, potem była praktyka, a po praktyce dopiero przedmioty zawodowe. Tak na marginesie [wychodzi i wraca z książką]. To jest od tego Bauersaks [oglądamy książkę *Informator geograficzny*, którą otrzymał respondent od kolegi, o którym opowiada]. I co się okazało. Skończył studia w Niemczech. Wiem, że pracował przy budowie stadionu w München, jak była olimpiada. Będąc na Schlesientreffen w Nürnberg, to już będzie 15 lat temu chyba. Przyszedł

taki mały człowieczek, do naszej grupy, po niemiecku się pyta, czy kogoś znamy z Chrzastowic? Ja mówię, „No znamy, dużo ludzi, a o kogo chodzi?” „A czy znamy tego gospodarza, tego młynarza”. Ja mówię „Sind Sie B.?” „Ja”. Jego ojciec. Tam żeśmy się spotkali No i właśnie już wiedziałem, że ten już zmarł wcześniej. Ja mówię do niego „Reinhard ist tot?” „Ja”. No i dalej tam ubolewał. I tak my powspominali stare czasy. Jeszcze mi obiad postawił itd. (...) No i mu właśnie o tej książce powiedziałem, że mam tę książkę.

B: A jak Reinhard reagował na to, że wyjeżdżają?

R: On czuł się Niemcem. On potrafił perfektnie po niemiecku pisać itd. Tak, że on był rok starszy ode mnie. Ale ze mną chodził [do technikum] Bo on chodził do zawodówki, skończył zawodówkę, a potem on chyba przyszedł do drugiej klasy technikum.

B: Pana rodzina starała się o wyjazd do Niemiec?

R: Tak, i moja rodzina wyjechała.

B: W jakich latach?

R: Moi rodzice wyjechali 1975. To znaczy matka była tu sama. Bo [jej] cała rodzina była już przed wojną w Niemczech. Mój wujek, który był od matki 10 lat starszy, [wyjątek] na tą wioskę, skończył studia, był inżynierem. I w Berlinie pracował na poczcie, jako bardzo ważna figura w łączności. Tak, że mieli jednego syna. Ciotka i ten mój kuzyn tu większość przebywali w czasie wojny, tu niż w Berlinie, bo Berlin był bombardowany. (...) Jak była w 1936 roku olimpiada, to on miał jedyn z pierwszych telewizor już. No bo on jako szycza w tej łączności. Ponoć tak on powiedział, było wyprodukowanych 10 telewizorów i on miał z tych 10 jeden. M.in. Hitler też miał. Czy był w partii tego mi nie zdradził. Ale ja przypuszczam, że musiał być. Moja żona go bardzo prosiła, żeby tu przyjechał, żeby obejrzał. „On nie może, on zna za dużo tajemnic”, tak powiedział.

B: Wracając do wyjazdów: długo starali się pana krewni o wyjazd?

R: Moi rodzice z trzy lata. (...)

B: Jak wyglądały kontakty wasze z krewnymi w Niemczech?

R: Tylko listownie. Ojciec chyba raz był tam przed wyjazdem. Bo matka miała jeszcze też taką kuzynkę, która była sierota i razem z nimi się wychowywała. To ona mieszkała na terenie NRD. To też tam odwiedzała.

B: Mieliście szanse na to, żeby się spotkać? [respondent kiwa głową przecząco] Gdy listy przychodziły i wy wysyłałście, mieliście świadomość albo podejrzenia, że te listy są otwierane?

R: Nie wiem.

(...)

B: Można się było deklorować w PRL, że jest się Niemcem.

R: Ja takich deklaracji nie składałem, ale wiem, że ci co deklarowali, to mieli bardzo trudności. Tak jak powiedziałem na początku, pracowałem w tym małym zakładzie, a potem przenieśliem się do dużego zakładu, gdzie rządziła partia [huta w Ozimku]. Dyrektor nie miał nic do powiedzenia, sekretarz rządził. Tak, że byliśmy zawsze ci niżsi. Dopiero jak przyszła nowa generacja sekretarzy, to dopiero sytuacja się odwracała. Ponieważ już po tym doszedłem do kierowniczego stanowiska. No i miałem ofertę. Odmówiłem. „No dobrze, ale zapiszesz się i pójdziesz na WUML” (...). Poszedłem. No ale nie skończyłem, bo reforma przyszła. Ale ciekawych rzeczy się nauczyłem. Np. szczegółowa analiza Pisma Świętego. Tego na religii nie uzyska. Gdzie jest w Piśmie Świętym napisane, że Ewa zerwała jabłko? To jako przykład daję.

B: Był pan jednym z nielicznych Ślązaków, którzy awansowali w hucie?

R: No z bezpartyjnych. Bo byli tacy, co zapisywali się do partii. I dlatego, ponieważ mniejszość zakładali członkowie partii. Ja między nimi się dobrze czułem. I oni znali się na organizowaniu. A co pani myśli, że to wszystko by tak ładnie leciało, te wszystkie struktury itd.? Tego nigdzie nie uczyli. A ci ludzie to znali, wiedzieli, jak to zorganizować. Mieli doświadczenie.

(...)

B: Wróćmy do początków mniejszości niemieckiej. Jak wyglądało zakładanie tych organizacji?

R: Najpierw konsultacje wszystko z starym Krollem w Gogolinie. Tośmy tam jeździli, zebrania tam organizował, konspiracyjnie. Gdzieś tam, w jakiejś tam prywatnych lokalach. Potem wreszcie już doszło, to było chyba w lutym, do tego, że został nam związek zarejestrowany Nie pamiętam w tej chwili dokładnie [daty]. Z początku roku. No i postanowiliśmy, tu u nas się to odbyło w Niwkach, też w prywatnej knajpie, że tworzymy organizacje. No i na razie z każdej miejscowości stworzyliśmy tymczasowy zarząd aż do wyborów. Stworzyliśmy gminny. Ja zostałem wtedy tymczasowym gminnym przewodniczącym. No i z poszczególnych miejscowości. Tam potem były czasami zmiany w niektórych miejscowościach, w niektórych [zostały] tak, jak były tymczasowe. I rozpoczęliśmy tę działalność.

B: Spotykaliście się z jakimiś trudnościami, jeżeli chodzi o zorganizowanie mniejszości niemieckiej?

R: No specjalnie jakiś trudności nie było. To były takie trudności, nie było telefonów, tak jak dzisiaj, że każdy ma komórkę i tego. Trza było jechać Np. teraz nie wiem w jakiej sprawie, ale pilnie trzeba było jechać do Gogolina. Był taki sztorm, że do bagażnika wzięliśmy siekierę, piłę motorową, no bo może być drzewo na drodze, a trza tam dojechać wieczorem. A telefonicznie nie można było tego przekazać. Była duża pomoc w organizowaniu poprzez dyrektora późniejszego sekretarza pana Lyska. Pan Lenort był jego pracownikiem, kierownik stołówki. [dyrektor] Pozwalał mu w czasie pracy na wszystko. [Lenart] Korzystał z zakładu. Tak że ja Lyska podziwiam do dziś. Bo mało który człowiek tyle pomógł dla mniejszości co Lysek. Wiem, że później Lysek został nawet w hucie pierwszym sekretarzem. Pan Lenort w pracy wiele spraw związanych tam, że trzeba było po wyborach wszystko, jeździło się po prostu do zakładu do niego. Tak, że ten człowiek bardzo dużo pomógł mniejszości. I być może, że tam niektórzy na niego coś tam psioczą. Ja bym nie mógł nic powiedzieć. Bo ten człowiek bardzo dużo zrobił dla mniejszości. Nie wiem czy to robił świadomie, czy podświadomie, ale liczył się z tymi konsekwencjami.

B: Przełom 1989 r. był Pana zdaniem w jakiś specjalny sposób ważny dla społeczności mniejszości niemieckiej?

R: Bardzo. Ludzie jakby odżyli. To się czuło wśród tych ludzi. Dziś już tego nie ma. To już wszystko zanikło. Dzisiaj. Bo ja nie umiem dobrze mówić po niemiecku. Mnie brakuje gramatyki. Jestem słaby z gramatyki, ja słówek bardzo dużo znam. To się czuło. Że jak radość w tych ludziach była. (...)